

**„Czytanie książek Alice Hoffman
to jak zagłębianie się w świat,
w którym króluje miłość
i wszystkie zmysły się wyostrają.
Właśnie tak jest w *Zasadach magii*”**

JODI PICOULT

ZASADY MAGII

KAŻDY POTRZEBUJE TROCHĘ CZARÓW...

**ALICE
HOFFMAN**

ALBATROS

Dawno, dawno temu, zanim cały świat się zmienił, można było uciec z domu, ukryć swoją tożsamość i stać się częścią kulturalnego społeczeństwa. Dzieci tej matki właśnie tak zrobiły. Susanna pochodziła z bostońskich Owensów, rodziny tak starej, że Stowarzyszenie Potomków *Mayflower* oraz Córy Rewolucji Amerykańskiej nie mogły odmówić im wstępu do tych ekskluzywnych organizacji, chociaż wołałyby zamknąć im drzwi przed nosem i dwukrotnie przekręcić klucz. Ich pierwsza przodkini, Maria Owens, która przybyła do Ameryki w 1680 roku, pozostawała tajemnicą nawet dla własnej rodziny. Nikt nie wiedział, kto był ojcem jej dziecka, ani nie pojmował, jakim cudem zbudowała tak piękny dom, chociaż była samotną kobietą bez żadnych widocznych środków utrzymania. Ród wód potomków Marii był równie niejasny. Mężowie znikali bez śladu. Córki płodziły córki. Dzieci uciekały i nigdy nie wracały.

W każdym pokoleniu byli tacy, którzy uciekali z Massachusetts, i Susanna Owens też tak zrobiła. Jako młoda kobieta wyjechała do Paryża, potem wyszła za mąż i osiadła w Nowym Jorku. Ukrywała przed dziećmi prawdę o ich dziedzictwie dla ich własnego dobra, co wzbudziło w nich dręczące podejrze-

nia na temat tego, kim są naprawdę. Od początku nie ulegało wątpliwości, że różnią się od innych dzieci, toteż Susanna czuła, że musi wprowadzić pewne zasady. Żadnych spacerów przy księżycu, żadnego wywoływania duchów, żadnych świec, żadnych czerwonych butów, żadnych czarnych ubrań, żadnego chodzenia boso, żadnych amuletów, żadnych nocnych kwiatów, żadnego czytania książek o czarach, żadnych kotów, żadnych kruków i żadnego zapuszczania się poza Czternastą Ulicę. Jednak chociaż ze wszystkich sił starała się wprowadzić te zasady, dzieci wciąż psuły jej szyki. Upierały się, że będą niezwykłe. Najstarsza, Frances, o skórze białej jak mleko i włosach czerwonych jak krew, tak wcześnie posiadała zdolność komunikowania się z ptakami, że zlatywały się licznie do jej okna jakby na wezwanie, kiedy jeszcze leżała w kołysce. Potem szła Bridget, nazywana Jet z powodu czarnych jak dżety włosów, dziewczyna równie piękna co nieśmiała, która, jak się zdawało, potrafiła czytać ludziom w myślach. Ostatni był Vincent, rozpieszczane najmłodsze dziecko, niespodzianka pod każdym względem, pierwszy i jedyny chłopiec urodzony w tej rodzinie, utalentowany muzyk, który gwizdał, zanim nauczył się mówić, tak charyzmatyczny i nieustraszony, że kiedy zaczął chodzić, matka musiała go trzymać na smyczy w obawie, żeby nie uciekł.

Dzieci szybko dorastały pod koniec lat pięćdziesiątych i z czasem ich zachowanie stawało się coraz dziwniejsze. Nie chciały się bawić w żadne gry i nie interesowały się innymi dziećmi w parku. Wykraadały się przez okna obskurnego rodzinnego domu na Osiemdziesiątej Dziewiątej Ulicy na Upper East Side, kiedy rodzice poszli spać, laziły po dachu, zbiegały po schodach pożarowych i spacerowały po Central Parku o najdziwniejszych porach. Pisały czarnym atramentem na

ścianach salonu, czytały sobie nawzajem w myślach i chowały się w zmywalni w suterenie, gdzie matka nigdy nie mogła ich znaleźć. Łamały jedną zasadę po drugiej, jakby uznały to za swój obowiązek. Franny ubierała się na czarno i hodowała na parapecie okna jaśmin kwitnący nocą, Jet przeczytała wszystkie książki Edith Nesbit i dokarmiała bezdomne koty w alejce, a Vincent zaczął odwiedzać podejrzane dzielnice, zanim skończył dziesięć lat.

Wszyscy troje mieli szare oczy, z których słynęła rodzina, jednak siostry stanowiły przeciwieństwa pod każdym względem. Frances była podejrzliwa i obraźliwa, natomiast Jet – łagodna i tak wrażliwa, że krytyczna uwaga mogła wywołać u niej wysypkę. Jet ubierała się modnie, idąc w ślady eleganckiej matki, a Frances zwykle wyglądała niechlujnie i nie dbała o fryzurę. Najszczęśliwsza była podczas wędrówek w zabłoconych butach po parku i po Sheep Meadow. Miała dar, który pozwalał jej przywoływać dzikie ptaki zwykłym podniesieniem ręki. Z daleka, kiedy biegła tak szybko, że niemal frunęła, zdawała się mówić ich językiem i należeć do ich świata bardziej niż do własnego.

Co do Vincenta, promieniował tak nieziemskim urokiem, że zaledwie parę godzin po jego urodzeniu pielęgniarka na oddziale położniczym szpitala Columbia-Presbyterian zawinęła go w swój płaszcz i próbowała porwać. Na procesie zeznała przed sądem, że to nie była jej wina. Rzucił na nią czar i nie mogła mu się oprzeć. Z biegiem czasu takie skargi się powtarzały. Vincent był zepsuty do szpiku kości; Jet traktowała go jak ulubioną lalkę, a Frances jak eksperyment naukowy. Jeśli go uszczypnę, zastanawiała się, czy się rozplącze? Jeśli dam mu paczkę ciastek, czy zje wszystkie i pochoruje się? Tak, okazywało się, i znowu tak.

Kiedy Vincent był niegrzeczny, co często się zdarzało, Frances wymyślała historyjki o karach dla małych chłopców, którzy nie słuchali starszych, chociaż te ostrzeżenia go nie powstrzymywały. Mimo to zawsze go chroniła, nawet wtedy, kiedy był od niej znacznie wyższy.

Cała trójka dzieci gardziła szkołą, do której chodziły, chociaż Susanna Owens ciężko pracowała, żeby je zaakceptowano, wydając przyjęcia dla zarządu szkoły Starling. Wprawdzie ich dom rodzinny był w opłakanym stanie z powodu braku funduszy – ojciec, psychiatra, uparcie przyjmował wielu pacjentów za darmo – jednak zawsze robił wrażenie. Susanna dekorowała salon na szkolne zebrania srebrnymi tacami i jedwabnymi poduszkami, kupionymi na tę okazję i zwracanymi do Tiffany’ego i Bendela zaraz następnego dnia. Szkoła Starling była snobistyczną, klanową instytucją ze strażnikiem stojącym przed frontowymi drzwiami na Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy. Wszyscy uczniowie musieli nosić mundurki, chociaż Franny regularnie podkasywała szarą spódnicę i opuszczała drapiące podkolanówki, pokazując gołe piegowate nogi. Jej rude włosy zwijały się od wilgoci, a skóra wystawiona na słońce dłużej niż przez piętnaście minut piekła i czerwieniała. Franny wyróżniała się w tłumie, co ją nieskończenie irytowało. Była wysoka i ciągle rosła, aż wreszcie w piątej klasie osiągnęła znienawidzone metr osiemdziesiąt. Zawsze miała wyjątkowo długie, niezdarne ręce i nogi. Z tego powodu etap dziecięcej nieporadności trwał u niej dziesięć lat – odkąd była ponurym przedszkolakiem, wyższym od większości chłopców, aż do ukończenia piętnastego roku życia. Często nosiła czerwone buty, kupione w sklepie z używaną odzieżą. „Dziwna dziewczyna”, zapisano w jej aktach. „Może potrzebna jest ocena psychologiczna?”

Siostry były w szkole outsiderkami, a Jet stanowiła szczególnie łatwy cel. Koleżanki z klasy mogły doprowadzić ją do płaczu złośliwym liścikiem albo celnym szturchańcem. Kiedy Jet zaczęła chować się po całych dniach w toalecie dla dziewczynek, Franny szybko zainterweniowała. Wkrótce uczniowie się przekonali, że lepiej nie drażnić siostr Owens, jeśli nie chcesz się potknąć o własne buty albo jąkać się i zacinać, kiedy cię wezwą do odpowiedzi. Siostry miały w sobie coś groźnego, nawet kiedy tylko jadły kanapki z pomidorem w stołówce albo szukały książek w bibliotece. Nie narażaj im się, bo złapiesz grypę albo odrę. Nie wchodź im w drogę, bo wylądujesz w gabinecie dyrektora, oskarżony o ściąganie czy wagarowanie. Naprawdę lepiej zostawić siostry Owens w spokoju.

Jedynym przyjacielem Franny był Haylin Walker, wyższy od niej o siedem centymetrów i równie nietowarzystki. Od chwili narodzin był skazany na to, żeby zostać uczniem Starling. Jego dziadkowie sponsorowali salę gimnastyczną, Walker Hall, przezwana Hell Hall* przez Franny, która nie cierpiała sportu. W szóstej klasie Hay w ramach protestu przykuł się łańcuchem do stojaka z deserami w stołówce, żeby zażądać podwyżki płac dla pracowników szkolnej kawiarenki. Franny podziwiała jego bojowego ducha, chociaż inni uczniowie tylko wytrzeszczali oczy i nie chcieli się przyłączyć, gdy zaczął skandować: „Równość dla wszystkich!”.

Kiedy woźny wśród przeprosin przeciął łańcuch piłką do metalu, Haylin dostał porządną burę od dyrektora i kazano mu napisać wypracowanie o prawach pracowników, co uznał raczej za przywilej niż karę. Miał napisać dziesięć stron, a tymczasem

* (Ang.) Piekielna Sala.

oddał prawie pięćdziesiąt, z przypisami, jak należy, z cytatami z Thomasa Paine'a i Franklina Delano Roosevelta. Nie mógł się doczekać następnej dekady. W latach sześćdziesiątych wszystko się zmieni, powiedział do Franny. I jeśli im się poszczęści, będą wtedy wolni.

Haylin pogardzał swoim bogactwem i uprzywilejowaną pozycją społeczną. Nosił podarte, zniszczone ubrania i buty tak stare, że miały dziury w podeszwach. Chciał tylko mieć psa i chodzić do publicznej szkoły. Rodzice odmówili mu jednego i drugiego. Jego ojciec był największym udziałowcem międzynarodowego banku istniejącego na Manhattanie od 1824 roku, i Hay okropnie się tego wstydził. W szkole średniej zastanawiał się, czy nie zmienić oficjalnie nazwiska na Smith czy Jones, żeby nikt go nie kojarzył z jego rodziną i ich niechlubną chciwością. Ufał Franny między innymi dlatego, że bogactwo nie robiło na niej żadnego wrażenia. Nie obchodziło jej, że mieszkał w penthousie na Piątej Alei ani że jego ojciec miał kamerdynera, który studiował w Oksfordzie, nosił żakiet i wyglansowane buty.

– Ale zawracanie głowy – komentowała zawsze Franny.

Co więcej, dzielili pasję do nauki. Obecnie Haylin badał wpływ *cannabis* na spożycie kalorii. Póki co przybyło mu dwa i pół kilo w niecały miesiąc, ponieważ uzależnił się nie od marihuany, tylko od pączków z galaretką. Wydawał się wyluzowany, chyba że mówił o biologii albo niesprawiedliwości, albo swoim przywiązaniu do Franny. Łaził za nią i nawet się nie przejmował, że robi z siebie głupka. Kiedy byli razem, miał w oku intensywny błysk, który Franny uważała za niepokojący. Jakby gdzieś tam krył się drugi on, sekretna tożsamość napędzana emocjami, z którymi żadne z nich nie było jeszcze gotowe się zmierzyć.

- Powiedz mi wszystko o sobie – prosił ją często Haylin.
- Przecież już mnie znasz – odpowiadała Franny.

Znał ją najlepiej ze wszystkich. Czasami obawiała się, że nawet lepiej, niż sama siebie znała.

W przeciwieństwie do Franny i Jet ich brat z łatwością prześlizgiwał się przez szkołę. Wziął lekcje gry na gitarze i w mig prześcignął nauczyciela, i wkrótce grupka zadurzonych dziewczyn chodziła za nim po szkolnych korytarzach. Wcześniej zaczął się interesować magią. Wyciągał ćwierćdolarówki z uszu szkolnych kolegów i dmuchnięciem zapalał zapalki. Z czasem jego talenty rozkwitły. Jednym spojrzeniem potrafił sprawić, że w domu Owensów wysiadała elektryczność: światła migotały, a potem całkowicie gasły. Drzwi zamknięte na klucz otwierały się, chociaż nawet ich nie dotykał, okna uchylały się i zamykały, kiedy stał w pobliżu. Franny pytała go, jak dokonał tego wszystkiego, ale on nie chciał wyjawiać swoich metod.

- Zgadnij – odpowiadał z uśmiechem.

Vincent powiesił na drzwiach swojego pokoju napis: WCHODZISZ NA WŁASNE RYZYKO, ale Franny i tak weszła, żeby zrobić rewizję. W szafie i w szufladach biurka nie znalazła nic ciekawego, ale kiedy sięgnęła w zasnutę pajęczynami miejsce pod łóżkiem, natrafiła na okultystyczny podręcznik zatytułowany *Mag*. Franny znała historię tej książki, ponieważ matka umieściła ją na swojej liście prohibitów. Książka zdobyła taką popularność, kiedy się ukazała w 1801 roku, że nie nadążano z drukowaniem. Ludzie dopuszczali się rabunków, żeby ją zdobyć, a wielu fanatyków trzymało ją schowaną pod podłogą. Porządnie zaczytany egzemplarz Vincenta nadal posiadał moc. Pachniał siarką i jak tylko Franny go zobaczyła, dostała ataku kichania. Przypuszczała, że ma na niego alergię.

Mag był taki gorący w dotyku, że sparzyła sobie palce o obwolotę, kiedy wyciągała go z kryjówki. Czegoś takiego nie kupuje się pod wpływem chwili. Trzeba wiedzieć, czego się szuka, i trzeba odwagi, żeby się tym posługiwać.

Franny cisnęła tom na kuchenny stół, kiedy Vincent jadł lunch. Sałatka ziemniaczana i surówka z kapusty rozbryzgnęły się po blacie. Książka jęknęła, kiedy uderzyła o stół. Grzbiet miała czarno-złoty, spękany ze starości.

– Skąd to się wzięło? – zapytała Franny.

Vincent popatrzył na nią i nawet powieka mu nie drgnęła.

– Z kiosku z używanymi książkami obok parku.

– Nieprawda – oświadczyła stanowczo Franny. – Nigdy w życiu nie zajrzałeś do kiosku!

Mógł zamydlić oczy innym, nawet Jet mogła się nabrać na jego czar, ale Franny miała instynkt do takich rzeczy. Prawda była lekka i zielona niczym liść, ale kłamstwo opadało na podłogę, ciężkie jak metal, substancja, której zawsze unikała, bo przy niej czuła się jak uwięziona za kratami. Jednak Vincent był najbardziej czarującym z kłamców i Franny poczuła przypływ miłości do brata, kiedy wzruszył ramionami i powiedział prawdę.

– Masz rację. Nie można jej sprzedawać w kioskach – przyznał. – Wciąż jest nielegalna.

Wszystkie egzemplarze, które odnaleziono na przełomie stuleci, zostały publicznie spalone na placu Waszyngtona; istniało też mało znane prawo, zakazujące trzymania tych książek w bibliotekach miasta Nowy Jork oraz sprzedawania w księgarniach. Przy upadku na stół książka się otworzyła i Franny dostrzegła obrazki czarownic prowadzonych na szubienicę. Pod ilustracją widniała data: 1693. Przeszył ją dreszcz rozpoznania. Niedawno pisała na historię wypracowanie o procesach

w Salem i stąd wiedziała, że właśnie w tym roku wiele osób, którym postawiono zarzuty, uciekło z Nowej Anglii w poszukiwaniu bardziej tolerancyjnego miejsca. Miejscem tym okazał się Manhattan. Podczas gdy w Nowej Anglii szalała nagonka na czarownice, podsycana przez politykę, chciwość i religię, zainicjowana przez Cottona Mathera i niesławnego okrutnego sędziego Johna Hathorne’a, w Nowym Jorku odbyły się tylko dwa procesy czarownic, w 1658 roku i ponownie w 1665, jeden w Queens, drugi na Long Island, wówczas zwanej Yorkshire, w miasteczku Setauket; oba dotyczyły obywateli mających powiązania z Bostonem. W Nowym Jorku, jak odkryła Franny, człowiek mógł być wolny.

– Po co ci ta książka? – Franny miała sadzę na czubkach palców i coś ją dziwnie ścisnęło w żołądku.

Oczywiście to w stylu Vincenta interesować się okultyzmem zamiast czymś zwyczajnym, jak piłka nożna albo lekkoatletyka. Regularnie zawieszano go w prawach ucznia za psoty – spadające wiadra z wodą, wybuchające puszki z gazem pieprzowym. Swoim zachowaniem przysparzał wiele wstydu ojcu, który niedawno wydał książkę pod tytułem *Obcy w domu*, analizę zaburzeń u nastolatków, dedykowaną własnym dzieciom, z których żadne nie zamierzało jej przeczytać, chociaż stała się czymś w rodzaju bestsellera.

Franny domyślała się, skąd pochodził *Mag*. Z miejsca na liście matki, gdzie nigdy nie wolno im było chodzić. Z gorszej dzielnicy. Krążyły plotki, że można tam znaleźć to, co było zakazane w innych częściach Manhattanu. Zwierzące serca, ludzką krew, zaklęcia, które mogły się okazać zabójcze. Matka nie pozwalała im jeździć do Greenwich Village głównie dlatego, że postrzegano je jako siedzibę bohemy, narkomanów, homo-

seksualistów i wyznawców czarnej magii. Jednak Vincent jakoś tam dotarł.

– Wierz mi, nie ma się czym martwić – mruknął i szybko zabrał *Maga*. – Naprawdę, Franny, to tylko nędzna książka.

– Bądź ostrożny – napomniwała go siostra.

Możliwe, że mówiła również do siebie, ponieważ często niepokoiły ją własne zdolności. Nie chodziło tylko o to, że przyciągała ptaki ani że roztapiała sople dotknięciem ręki. Obie te reakcje dało się naukowo wytłumaczyć. Zachowywała się spokojnie i nie okazywała strachu, kiedy ptaki trzepotały skrzydłami wokół niej, i miała wyższą od przeciętnej temperaturę ciała, zatem logiczne było, że lód się roztapiał. Ale pewnej nocy, stojąc na schodach pożarowych przed swoją sypialnią, tak mocno myślała o lataniu, że na chwilę jej stopy się uniosły i zawisła w powietrzu. A to, jak wiedziała, było empirycznie niemożliwe.

– Tak naprawdę nie wiemy, z czym mamy do czynienia – mruknęła do brata.

– Ale to coś istnieje, prawda? – odpowiedział Vincent. – Coś w nas. Wiem, że matka chce, byśmy udawali, że nie różnimy się od innych, ale my wiemy, że tak nie jest.

Oboje zastanowili się nad tym. Dziewczynki miały pewne zdolności, podobnie jak Vincent. Na przykład mógł widzieć niewyraźne fragmenty przyszłości. Wiedział, że Franny znajdzie dzisiaj *Maga* i że odbędzie tę rozmowę. Nawet zapisał to sobie na ręce niebieskim atramentem. Podniósł teraz ramię, żeby jej pokazać. „Franny znajdzie książkę”.

– Zbieg okoliczności – szybko odparła. Nie było innego uzasadnionego powodu.

– Na pewno? Kto udowodni, że to nie coś więcej? – Vincent zniżył głos. – Spróbujmy się dowiedzieć.

Siedzieli obok siebie, przysunawszy blisko kuchenne krzesła, niepewni tego, co rozkwitało w ich wnętrzu. Kiedy się skoncentrowali, stół uniósł się i zawisł parę centymetrów nad podłogą. Franny była tak zaskoczona, że uderzyła w blat obiema rękami, żeby powstrzymać wznoszenie. Stół natychmiast z trzaskiem opadł na podłogę.

– Zaczekajmy – zaproponowała, zarumieniona od żaru tej dziwnej chwili.

– Po co czekać? Im szybciej się dowiemy, co to jest, tym lepiej. Chcemy nad tym panować, a nie żeby to panowało nad nami.

– Nie ma żadnego „tego” – upierała się Franny, logiczna jak zawsze, dobrze wiedząc, że brat mówi o magii. – Istnieje racjonalne wytłumaczenie każdej akcji i reakcji.

Po incydencie w kuchni stół już zawsze był przechylony, talerze i szklanki ciągle się z niego ześlizgiwały, jakby chciały im przypomnieć, że kimkolwiek są, czegokolwiek dokonają, Vincent miał rację. Nie byli tacy jak inni.



Żaden z tych eksperymentów nie ucieszyłby doktora Burke-Owensa i jego żony, gdyby wiedzieli o takich zabawkach. Byli to poważni, eleganccy ludzie, którzy spędzali wieczory w klubie Yale, sącząc drinki Tom Collins albo whiskey sour, ponieważ po zrobieniu licencjatu na Harvardzie doktor uczęszczał do szkoły medycznej w New Haven – mieście, którego ich matka miała nadzieję nigdy więcej nie odwiedzić, jak sama się przyznała. Oboje nieustannie wypatrywali oznak dziedzicznych zaburzeń u swojego potomstwa i jak dotąd nie byli zbyt dobrej myśli. W swoich pracach doktor Burke-

-Owens proponował teorię osobowości stawiającą naturę ponad wychowaniem; twierdził, że nie da się zmienić podstawowych cech osobowości dziecka. Utrzymywał, że nie tylko mózg jest skonfigurowany na stałe, ale również dusza. Nie można się uwolnić od genetycznego dziedzictwa, nawet pomimo zdrowego środowiska, a to nie wróżyło dobrze dla Frances, Bridget i Vincenta.

Na szczęście dla nich ojciec był zajęty swoimi pacjentami, którzy ukradkiem wślizgiwali się przez oddzielne drzwi i schodzili do gabinetu w suterenie domu Owensów. Podczas seansów terapeutycznych Vincent często przemyskał na dół do szatni i przetrząsał kieszenie pacjentów, szukając gotówki, miętówek i valium. Potem cała trójka dzieci leżała na kuchennej podłodze, odprężona po zażyciu małych żółtych pigułek, ssąc miętowe cukierki Brach's Ice Blue i słuchając płaczliwych wyznań, które docierały przez szyb wentylacyjny. Dzięki tym sesjom podsłuchiwania poznały depresję, obsesję, manię, seksualne żądze i syndrom przeniesienia dużo wcześniej, niż większość dzieci w ich wieku w ogóle wiedziała, kto to jest psychiatra.



Co roku z Massachusetts przysyłano pudełko czarnego mydła o zapachu lawendy, zapakowanego w szeleszczący celofan. Susanna nie chciała zdradzić, kto je przysyłał, jednak sumiennie się nim myła. Zapewne dlatego miała tak promienną, kremową cerę. Franny odkryła właściwości mydła, kiedy zwędziła jedną kostkę podczas świąt. Wypróbowała je razem z Jet. Mydło sprawiło, że ich skóra jaśniała, ale również tak je ogłupiło, że nie mogły się powstrzymać od śmiechu. Napelniły pianą umywalkę i chlapały na siebie wodą, i wkrótce były prze-

moczone do suchej nitki. Kiedy matka je nakryła, jak rzuciły w siebie nawzajem śliską kostką niczym gorącym ziemniakiem, natychmiast zabrała mydło.

– To nie jest dla dzieci – oświadczyła, chociaż Franny miała prawie siedemnaście lat, a Jet latem kończyła szesnaście.

Z pewnością matka coś przed nimi ukrywała pod warstwami tuszu do rzęs. Nigdy nie wspominała o swojej rodzinie, a dzieci nie poznały żadnych krewnych. W miarę dorastania narastała również ich podejrzliwość. Susanna Owens mówiła zagadkami i nigdy nie udzieliła jasnej odpowiedzi. „Nie krzyżujcie noży”, nakazywała, kiedy przy stole wybuchła kłótnia. Masło roztopiające się w maselnicy oznaczało, że ktoś w pobliżu jest zakochany, a ptak w domu mógł wynieść twojego pecha przez okno. Nalegała, żeby dzieci ubierały się na niebiesko dla ochrony i nosiły w kieszeniach pęczki lawendy, chociaż Franny zawsze je wyrzucała, jak tylko zeszła matce z oczu.

Zastanawiała się, czy ich matka nie jest szpiegiem. Rosja była wrogiem i uczniowie Starling często musieli chować się pod ławki i zakrywać głowy rękami w ramach ćwiczeń na wypadek bombardowania. Szpiegdy nie mieli krewnych ani wiarygodnej przeszłości, całkiem jak matka, i udzielali wymijających odpowiedzi, też jak ona. Zatajali własną przeszłość, żeby chronić swoje prawdziwe pochodzenie i zamiary – a Susanna nigdy nie opowiadała o studiach, nie zdradziła, gdzie dorastała, a o rodzicach wyjawiała tylko tyle, że zmarli młodo podczas rejsu. Dzieci Owensów znały zaledwie parę skąpych faktów: Susanna dorastała w Bostonie i była modelką w Paryżu, zanim ustatkowała się z ojcem dzieci, który był sierotą bez własnej rodziny. Matka zawsze była niezwykle szykowna, nosiła czarno-złote okulary przeciwsłoneczne nawet w pochmurne dni

i wytworne designerskie stroje z Paryża, i zawsze używała perfum Chanel No. 5, toteż każdy pokój, w którym przebywała, pięknie pachniał.

– A potem wy się pojawiliście – mówiła wesoło, chociaż każdy widział, że dzieci były dla niej ciężarem. To oczywiste, że nie nadawała się na kurę domową. Okropnie gotowała i nie radziła sobie z domowymi obowiązkami. Pralka sprawiała jej mnóstwo kłopotów i często przeciekała. Kuchenka ciągle się psuła, a wszystkie potrawy wychodziły niedopieczone albo niedogotowane. Nawet makaron z serem stanowił ciężką próbę. Raz na tydzień przychodziła pomoc domowa, żeby odkurzyć i zetrzeć podłogi, ale Susanna ją zwolniła, kiedy przyłapała kobietę na pokazywaniu dzieciom, jak używać tablicy Ouija, która została skonfiskowana i spalona w kominku.

– Znacie zasady! – krzyczała Susanna. – Nie wzywajcie ciemności, kiedy nie jesteście przygotowani na konsekwencje.

Wyglądała na rozwścieczoną, gdy wpychała pogrzebaczem tablicę w płomienie.

Jej obsesja na punkcie zasad tylko podsyciała ciekawość dzieci. Dlaczego matka zaciągała zasłony w Święto Pracy i musieli siedzieć po ciemku? Dlaczego nosiła okulary przeciwsłoneczne w księżycowe noce? Dlaczego wpadała w panikę, kiedy kończyła im się sól, i szybko biegła po nią do sklepu? Szukali wskazówek co do swojego pochodzenia, ale w domu było niewiele pamiątek, chociaż pewnego dnia Franny odkryła na najwyższej półce szafy w korytarzu stary album z fotografiami, zawinięty w muślin. Były tam wyblakłe fotografie kobiet w bujnym, zarośniętym ogrodzie, grupa dziewcząt w długich spódnicach uśmiechających się do aparatu, czarny kot na ganuku, matka jako młoda dziewczyna stojąca przed katedrą Notre

Dame. Kiedy Susanna zastała Franny zwiniełą na sofie w salonie i przeglądającą album, natychmiast go zabrała.

– To dla twojego dobra – powiedziała czule. – Ja tylko chcę dla ciebie normalnego życia.

– Mamo... – Franny westchnęła. – Dlaczego uważasz, że ja też tego chcę?



Co ma być, to będzie, czy tego chcesz, czy nie. Pewnego czerwcowego poranka ich życie zmieniło się na zawsze. Był rok 1960 i pojawiło się przecucie, że wszystko może się zdarzyć, nagle i bez ostrzeżenia. Koniec roku szkolnego przyjęto z ulgą, ale w domu wszyscy się dusili. Nowy Jork przypominał kotłownię pełną wilgoci i brudu. Temperatura dochodziła już do trzydziestu stopni i rodzeństwo umierało z nudów, kiedy przyszedł list. Koperta zdawała się pulsować, jakby w środku biło serce. Nie miała znaczenia, jednak urząd pocztowy uznał za stosowne wsunąć ją przez szparę na listy we frontowych drzwiach.

Susanna tylko raz spojrzała i powiedziała:

– To od mojej ciotki Isabelle.

– Mamy ciotkę? – zdziwiła się Franny.

– Dobry Boże, tylko nie ona – jęknął doktor Burke-Owens. – Nie otwieraj tego listu.

Ale Susanna wsunęła już paznokieć pod klapę koperty. Miała dziwną minę, jakby otwierała długo zamknięte drzwi.

– To zaproszenie dla Franny. Wszyscy je dostają, kiedy kończą siedemnaście lat. Taka tradycja.

– Więc powinnam jechać – szybko powiedziała Franny. Cokolwiek, byle się uwolnić od matczynych zasad.

– Jeśli pojedziesz, nic już nie będzie takie samo – ostrzegła matka.

– Wątpię.

Franny sięgnęła po kopertę. Przede wszystkim była odważna i zawsze pchała się tam, gdzie nikt inny nie śmiał stąpnąć. A list był adresowany do niej, nie do jej matki.

– Należy za wszelką cenę unikać Massachusetts – wtrącił ojciec. – Kontakt z kimkolwiek z rodziny ożywi cechy, które obecnie są uśpione.

Franny zignorowała ojca, skupiona na staroświeckim odręcznym piśmie, które przypominało ślady ptasich łapek.

Możesz wyjechać z domu dziś po południu i zdążyć na kolację.

– A ty pojechałaś, jak miałaś siedemnaście lat? – zapytała matkę Franny.

Susanna zamrugała wielkimi szarymi oczami. Pod spojrzeniem Franny nie mogła kłamać.

– Pojechałam – przyznała. – Potem wyjechałam do Paryża i na tym koniec. Ale ty... – Pokręciła głową. – Nie wiem, czy mogę cię puścić samą. I tak jesteś nieposłuszna.

– Wcale nie jestem! – sprzeciwiła się Franny z typową dla siebie przekorą.

Vincent nadepnął jej na nogę, żeby ją uciszyć. Rozpaczliwie pragnął przygody.

– Pojedziemy z nią – oświadczył.

– Będziemy jej pilnować – dodała Jet.

Podjęli decyzję. Postanowili uciec na lato. Podczas gdy rodzice się kłócili, Franny, Jet i Vincent poszli się pakować. Pokrzykiwali do siebie, żeby nie zapomnieć sandałów i kostiumów kąpielowych, podekscytowani, że wreszcie poznają swoje pochodzenie.

Kiedy wrócili do kuchni z walizkami, plecakami i gitarą Vincenta, matka siedziała samotnie przy stole i oczy miała zaczerwienione. Popatrzyli na nią, zmieszani. Była sprzymierzeńcem czy wrogiem?

– To jest formalne zaproszenie – powiedziała Susanna. – Wyjaśniłam waszemu ojcu, że nie wypada traktować niegrzecznie mojej ciotki, ale on chyba nie zrozumiał. – Odwróciła się do Vincenta i Jet. – Będziecie pilnować Franny?

Zapewnili ją, że będą.

– Isabelle was zaskoczy – ciągnęła Susanna. – Podda was testom, kiedy najmniej będziecie się tego spodziewać. Będziecie myśleli, że nikt was nie pilnuje, ale ona będzie wiedziała o wszystkim, co robicie. I musicie obiecać, że do mnie wrócicie – zakończyła ze łzami w oczach.

Rzadko dawała się tak ponieść emocjom i dzieci zauważyły jej rozpacz. Tym bardziej chciały pojechać do Massachusetts.

– Oczywiście, że wrócimy – przyrzekła Franny. – Jesteśmy nowojorczykami.

– To tylko na lato – zapewniła matkę Jet.

Każdy w końcu musi opuścić dom, prawda? Musi samodzielnie ruszyć w drogę, żeby się dowiedzieć, kim jest i co mu przyniesie przyszłość. Teraz jednak Vincent chciał tylko kupić bilet autobusowy i kiedy spojrzał na siostry, widział, że myślą tak samo. Żadnego cofania się, żadnego odwrotu, żadnej zgody na zwyczajne życie, które tak długo kazano im prowadzić.



Przyjechali w wigilię świętego Jana, w dzień letniego przesilenia, kiedy dzień jest tak długi, że wydaje się trwać bez końca. Róże były w rozkwicie, zielone smugi pyłku unosiły się

w ciemniejącym powietrzu. Kiedy szli przez miasteczko, sąsiedzi stawali w oknach, żeby się gapić. Było powszechnie wiadome, że każdy obcy ubrany na czarno prawdopodobnie zmierza na ulicę Magnolii. Większość ludzi unikała rodziny Owensów w przekonaniu, że każdy kontakt z nimi może skazać nie tylko teraźniejszość, ale również przyszłość. Powiadano, że pewni członkowie tej rodziny mogli włożyć pojedynczy koński włos do rondla z wodą i zmienić go w węża. Jeśli rozsypali kurz w kręgu, lepiej tam nie wchodzić, nawet kiedy kurz się rozwiął, bo możesz wpaść w dziurę żalu albo pożądania i nigdy się z niej nie wydostać.

– Niezbyt miłe przyjęcie – zauważyła nerwowo Jet, kiedy sąsiedzi mierzyli ich wzrokiem.

– Do diabła z nimi – burknęła Franny. Czy siostra niczego się nie nauczyła w szkole Starling? Cudze opinie nic nie znaczą, dopóki sama nie nadasz im znaczenia.

W wieku czternastu lat Vincent był już zbyt przystojny, żeby mu to wyszło na dobre. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i imponującą postawę pomimo swojej chudości. Teraz potrząsnął pięścią i wyszczerzył się szyderczo do miejscowych gapiów. Natychmiast na całej ulicy rozległo się szczekanie ryglowanych zamków.

– Doskonale – stwierdził Vincent. – Nie będziemy mieć z nimi kłopotów.

Vincent wyróżniał się wszędzie, a zwłaszcza tutaj, w małym miasteczku, gdzie chłopcy w jego wieku grali w baseball na zakurzonej boisku, ubrani w workowate dżinsy, i przerywali grę, żeby popatrzeć na obcych. Miał czarne włosy gładko zaczesane do tyłu i gitarę przewieszoną przez ramię, mimo ostrzeżeń ojca, że gitara, podobnie jak sportowy samochód,

stanowi przedłużenie ułomnego męskiego ego.

– No więc jestem ułomny. – Vincent wzruszył ramionami. – Kto nie jest?

Dotarli do końca ulicy Magnolii i przystanęli, chwilowo onieśmieni. Dom był wielki, z krzywymi kominami i mnóstwem okien z zielonkawego szkła. Całą posiadłość otaczało ogrodzenie z kutego żelaza, ale nigdzie nie widzieli bramy.

– Czujecie coś tutaj? – zagadnął siostry Vincent.

– Moskity? – odgadła Franny. Przyjrzała się błotnistym kałużom w rozległym ogrodzie warzywnym. – Pewnie spora szansa na dyzenterię.

Vincent skrzywił się i mruknął:

– Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa.

Podszedł bliżej, żeby się rozejrzeć. Ogród był oszołamiająco bujny i zielony. Stał tam kurnik, gdzie białobrazowe gdażące kury dziobały ziarno rozsypane na ziemi; szopa na narzędzia otoczona chwastami wyższymi od Vincenta; oraz zamknięta na kłódkę szklarnia, która wyglądała niezwykle obiecująco jako potencjalna kryjówka.

– Tutaj! – zawołał Vincent, rozgarnąwszy cierniste zarośla.

Odkrył zardzewiałą furtkę, prowadzącą na ścieżkę z szaroniebieskiego kamienia. Siostry weszły za nim i wbiegły po stopniach na ganek. Franny chciała już zapukać do drzwi, kiedy otworzyły się same. Cała trójka cofnęła się o krok.

– To tylko stare drzwi – oświadczyła Franny wyważonym tonem. – Jest gorąco i drewniana framuga się rozszerzyła, to wszystko.

– Tak myślisz? – Vincent wyprostował się na całą wysokość i zajrzał w półmrok. Wyczuwał prąd powietrza. – Tam jest dużo więcej. Uzbierało się przez setki lat.